ŚWIAT i ŻYCIE

Ilustrowany dodatek tygodniowy »DZIENNIKA ZACHODNIEGO«

Katowice, 24 sierpnia 1947 - Rok 2

Nr 33

Lidice — to miejscowość, w której Niemcy wymordowali całą ludność czeską w odwet za zamach na Heidricha. Lidice stały się dziś symbolem walki narodu czechosłowackiego z Niemcami. W czasie Festiwalu z różnych stron Czechosłowacji przybyły do Lidic sztafety młodzieżowe, składając hołd pamięci pomordowanych

Festiwal młodzieży w Pradze 1947

Specjalny reportaż dla „Świata i życia"

W tych dniach zakończony został w Pradze Światowy Festiwal Młodzieży, który trwał przez cały miesiąc. Przedstawiciele kilkudziesieciu narodów, zrzeszeni w ruch zawodowym, zjawili się gromadnie w stolicy Czechosłowacji, odbywając narady nad wzajemnym zbliżeniem młodzieży całego świata, demonstrując swoje zwyczaje narodowe, tańcę, muzykę i pieśni. Wśród kilkudziesięciu tysięcy młodzieży, która w ciągu miesiąca przewinęła się przez uroczystości festiwalowe, nie brakło też egzotycznych gości z Azji i Afryki. Festiwal był największą uroczystością tego rodzaju, jaka się kiedykolwiek odbywała, a poza tym największym międzynarodowym zjazdem powojennym. Praga przez miesiąc żyła pod znakiem młodzieży. Na wszystkich ulicach i placach, na wszystkich stadionach i boiskach, halach i salach — było jej pełno.

W numerze dzisiejszym reprodukujemy szereg ciekawych zdjęć z końcowego okresu Festiwalu.

Z lewej grupa młodzieży jugosłowiańskiej po pokazach tańców narodowych opuszcza gmach Sokolni na Vinohradach, z prawej — fragment tańców ludowych, w wykonaniu reprezentacji jugosłowiańskiej

Na jednym ze stadionów praskich odbył się w ostatnich dniach Festiwalu „Karnawał Narodów" z wielce urozmaiconym programem, wykonanym przez poszczególne grupy narodowościowe. Zgromadzona publiczność, składająca się nie tylko z mieszkańców Pragi, ale i z licznych grup młodzieży, które zjechały na Festiwal, z zainteresowaniem przyglądała się pokazom

W przeddzień zamknięcia Festiwalu na ogromnym stadionie Masaryka na Strachowie odbyła się defilada oddziałów sportowych, które brały udział w zawodach, zorganizowanych z okazji Festiwalu. Defiladzie przyglądało się kilkadziesiąt tysięcy ludzi

W służbie nauki

NA WYSPIE IONY

Tysiące meteorologów w różnych zakątkach świata notuje stan pogody, niezbędny dla ustalenia prognozy. Ale jak można otrzymywać regularnie raporty z tak dalekich rejonów, jak Arktyka, czy też Daleki Wschód, gdzie warunki pracy są nadzwyczaj ciężkie, a w pewnych porach nawet niemożliwe. Rozwiązać ten problem mógłby tylko automat, spełniający rolę meteorologa i radiotelegrafisty. I taki automat-stacja meteorologiczna został skonstruowany przez grupę inżynierów radzieckich, z inżynierem Gorelejczenką na czele.

Przed niedawnym czasem ekspedycja meteorologów ze swym inżynierem-wynalazcą na czele otrzymała polecenie zainstalowania takiej stacji na bezludnej i groźnej wyspie Iony, położonej w pośrodku morza Ochockiego.

Dwunastego dnia po opuszczeniu Moskwy członkowie ekspedycji znaleźli się we Władywostoku, skąd hydroplanem zostali przewiezieni do Nikołajewska. Tutaj ekspedycja załadowała się na statek „Osmussar", który po drodze do miasta Ochocka miał ich dostawić na wyspę Iony.

Pogoda sprzyjała. Poza dużą i skomplikowaną aparaturą, ekspedycja musiała wieźć z sobą beczki z wodą słodką, a nawet drzewo. Na piąty dzień podróży, zdala na horyzoncie, zamajaczyły kontury długo oczekiwanej wyspy. Wyglądem swym przypominała jurtę na stepie. Oto jest już blisko. Burze, wiatry, cyklony, powstające gdzieś na dalekich oceanach — wyspie tej zadają swe pierwsze razy, jakby na tych skałach chciały wypróbować własną siłę. Dlatego też na tej właśnie wyspie konieczne było zainstalowanie stacji meteorologicznej, która by tu, pełniąc wartę, śledziła wszelkie kaprysy pogody i natychmiast uprzedzała o grożącym niebezpieczeństwie.

Jeszcze jedna przesiadka. Tym razem ze statku na szalupę. Z bliska wyspa przypomina groźną cytadelę. Słychać przerażający ryk. To wyją setki lwów morskich (rodzaj fok). Wystraszone zjawieniem się okrętu, spełzają ze skał wyspy i rzucają się do wody. Szalupa, powoli, przebijając się między skałami, przybiła do brzegu. Ekspedycja stanęła na dzikiej wyspie. Okręt powoli zaczął się oddalać. Rozbito obóz, a w parę godzin później została nawiązana łączność radiowa z lądem.

Dostarczyć całe wyposażenie stacji na szczyt wyspy — nie było rzeczą łatwą, tym bardziej, że należało się spieszyć, gdyż prognoza zapowiadała pogorszenie się pogody i ostre zimna.

Wśród ciężkiej pracy całej ekspedycji, pewnym urozmaiceniem było polowanie na lwy morskie. Mijając tajemnicze groty, lawirując wśród groźnych skał, szalupa ostrożnie zbliżała się do wielkich kamieni, na których leżały, wygrzewając się w słońcu, lwy morskie. Przeciętny lew morski waży od 80 do 100 kg i oglądany z daleka, podobny jest do niedźwiedzia. Strzał. Lwy morskie, jak na komendę skaczą do wody, ale jeden z nich, nieruchomy, pozostaje na kamieniu. Z dużym wysiłkiem ściąga go się z kamienia do szalupy. Wieczorem członkowie ekspedycji otrzymują na obiad wytworne i egzotyczne danie — szaszłyk z lwa morskiego.

Przy pracy czas szybko mijał. Pozostała jeszcze najtrudniejsza część pracy, mianowicie wzniesienie i umocnienie masztów radiowych. Pejzaż wyspy uległ zasadniczej zmianie — spadł śnieg. Nawierzchnia skał pokryła się błyszczącym lodem i soplami, a wzburzone fale biły z furią o skały wyspy. Podniosła się zamieć śnieżna. Męcząca stała się praca na mrozie gołymi rękami. Ale cóż było robić — precyzyjne instrumenty nie dopuszczają pracy w rękawiczkach. Nie mogło to być jednak przeszkodą, trzeba się było spieszyć i w oznaczonym terminie wykonać pracę.

Wreszcie montaż stacji — robota została zakończona i pierwsze jej sygnały popłynęły w świat. Swoista robinzonada zbliżała się do końca. — Na horyzoncie pojawił się statek. Z wyspy wystrzeliła w górę kolorowa, powitalna rakieta. Szalupa z członkami ekspedycji powoli poczęła oddalać się. Na jednej ze skał wyrosła sylwetka lwa morskiego. Ciężko się poruszające zwierzę ze zdziwieniem patrzyło długo to na okręt, to na szczyt wyspy, na którym sterczą dumnie maszty.

Polna droga

(zdjęcie „Kącik fotograficzny" na str. 4)

PROFESOR ALFA

Kazimierz Nieciecki

Opowiadanie

Byliśmy oburzeni do głębi. Zdaniem naszym nie zdarzyło się jeszcze w historii szkolnictwa, aby klasa ósma, stojąca na progu matury, dostawała nowego nauczyciela. Perspektywa zdawania rachunku z umiejętności nabytych w ciągu wszystkich lat pozostawania w gimnazjum wobec od dawna i dobrze znanych nauczycieli napawała nas niemałym lękiem — kiedy zaś pomyśleliśmy o tym, że wypadnie nam na egzaminie maturalnym mieć do czynienia z człowiekiem, o którym nic nie wiedzieliśmy poza tym, że ma nam w nowym roku udzielać matematyki, nie mogliśmy powstrzymać słów oburzenia. Narzucenie go nam uważaliśmy za zwykłą szykanę.

— I pomyślcie, że nie znamy żadnego z jego przyzwyczajeń, żadnego z nawyków! — wołał gruby Jurek.

Rzeczywiście. Nauczyciel, będący dla ucznia zagadką w zakresie przyzwyczajeń, chwytów belferskich i uprzedzeń, stanowi podwójne niebezpieczeństwo.

Internat był obszerny, ciągnął się na przestrzeni całego skrzydła gmachu, obejmował długi szereg dwuosobowych pokoików, ale w rejonie klasy ósmej nie było ani jednego pokoju, w którym nie byłoby dyskusji, domysłów i przypuszczeń snutych na temat nowego, mającego przyjść do nas matematyka. W oczach naszych niebezpieczeństwo nam grożące powiększyło to, że kompletnie nic nie wiedzieliśmy o naszym nowym wychowawcy.

Ciekawość nasza została zaspokojona w dwa dni po naszym przyjeździe do internatu. Pierwszego dnia nowego roku szkolnego w gronie profesorskim nie ujrzeliśmy żadnej nowej twarzy. Pieściliśmy w duszy nadzieję, że może się coś stanie... może nastąpi rezygnacja mającego do nas przybyć nauczyciela... może — będę szczery — ulegnie jakiemuś wypadkowi...

Stojąc w kościele na nabożeństwie, którym rozpoczynaliśmy nowy rok szkolny, nie umieliśmy się skupić, oglądając się ustawicznie na wejście w nadziei, iż ujrzymy wchodzącego, tego, który nam zabrał spokój dwóch pierwszych dni ostatniego roku szkolnego, jaki mieliśmy w szkole spędzić. Dopiero po nabożeństwie dowiedzieliśmy się od naszego wielkiego przyjaciela i powiernika — woźnego Szymona — że „nowy pan" depeszował, iż przyjedzie dopiero następnego dnia.

Pierwszego dnia nauki mieliśmy mieć historię. Już po dzwonku jednak wszedł do klasy dyrektor z oznajmieniem, iż zamiast historii będziemy mieli matematykę, ponieważ historyk — poczciwy E r a — pojechał do Warszawy po podręczniki. Tomek nie wytrzymał i zapytał dyrektora wręcz, czy lekcję matematyki będzie z nami miał nowoprzybyły nauczyciel. Dyrektor potwierdził nasze przypuszczenie, dodając, że ten pan za chwilę przyjdzie tu z nim i zostanie nam przedstawiony.

— Znając jednak waszą nieobliczalność — mówił dyrektor — przyszedłem tu najpierw sam, aby was uprzedzić, że nie zniosę żadnej waszej w stosunku do nowego nauczyciela szykany, ani niegrzeczności. Proszę was, abyście byli grzeczni wobec niego, abyście przyjęli go serdecznie i nie dali mu poczuć niechęci, jaką — nie widząc go jeszcze — powzięliście do niego, o czym mi wiadomo.

Nie wiedzieliśmy tego nigdy, skąd dyrektor zawsze wszystko wiedział, faktem jednak było, że nie było chyba wiadomości, która by do niego dotarła później, niż do któregokolwiek ze wszystkich pozostałych nauczycieli.

10 minut później wszedł dyrektor w towarzystwie wysokiego, brodatego pana. Dyrektor przedstawił go klasie — i nawzajem jemu naszą klasę — i jakoś odbyło się to wszystko zupełnie zwyczajnie. Milczeliśmy, po wyjściu dyrektora obserwując pilnie brodacza. Próbowaliśmy odgadnąć go z wejrzenia, ale nie udawało nam się to w najmniejszej mierze. Może najbardziej interesował nas jego wiek — i staraliśmy się odgadnąć go z zewewnętrznego wyglądu; nie udawało się nam to jednak. Mógł mieć według naszej oceny zarówno trzydzieści kilka, jak i 50 lat. Czoło i oczy miał młode, broda jednak dezorientowała nas zupełnie. Wiek ten poznaliśmy zresztą bardzo późno — po egzaminach maturalnych dopiero.

Nowy nasz matematyk okazał się wymagający, był jednak wyrozumiały i łagodny. Jeszcze po feriach Bożego Narodzenia przedstawiał dla nas niemałą zagadkę — i nic podobnego, jak o pozostałych naszych wychowawcach — nie umieliśmy o nim powiedzieć. Nie potrafiliśmy również określić naszego do niego stosunku uczuciowego. Nie czuliśmy do niego żadnej antypatii — to prawda, ale też trudno było powiedzieć, abyśmy lubili go specjalnie. Mieliśmy dla niego jednak nie ulegający wątpliwości szacunek. Na jego lekcjach panował idealny spokój, lekcji przez niego zadanych nikt z nas nie ośmieliłby się zlekceważyć. Szacunek dla Alfy — jak go nazwaliśmy od dnia pierwszego — mieliśmy z dwóch przyczyn. Pierwszą z nich była doskonała znajomość przez niego przedmiotu. Alfa był mistrzem w swoim zawodzie. Nie tylko znał doskonale matematykę, ale umiał jej uczyć. Tomek powiadał najpoważniej w świecie, iż Alfa jest geniuszem matematycznym. Zgadzaliśmy się z nim dość niechętnie, ale zgadzać się musieliśmy. Klasa nasza jeszcze nie miała dotychczas matematyka, który potrafiłby tak znakomicie wykładać. Każdy — najtrudniejszy nawet — z problemów matematycznych po wyłożeniu go przez Alfę, stawał się dla nas jasny, zrozumiały i nie nastręczający żadnych trudności. Norbert utrzymywał, że Alfa podpatrzył Tajemnicę matematyki przez duże T — i że dzięki temu jest w stanie najtrudniejsze zagadnienia podać nam w takiej formie, iż stają się one zrozumiałe dla najbardziej tępego umysłu.

Faktem było, że koledzy nasi, którzy zawsze mieli kłopoty z matematyką, w tym roku osiągali zupełnie zadawalające stopnie. Krzyś, który każdego roku na przestrzeni wszystkich lat gimnazjalnych, kulał w matematyce chronicznie, któregoś dnia powiedział nam zdumionym i radosnym głosem:

— Oświadczam wam, że u m i e m matematykę. Rozumiem ją — i zawdzięczam to tylko Alfie.

Drugą przyczyną, dla której mieliśmy szacunek dla Alfy, było to, że nie dawał się nabierać na żaden z naszych kawałów. Najwspanialsze nasze pomysły kawalerskie marnowały się bezsławnie, ponieważ odkrywał je bez trudu. Tak, jak swoją umiejętnością wykładania matematyki, zdumiewał nas ten człowiek intuicją, która dawała mu przeczuć każdy nasz podstęp, każdy figiel przygotowywany, każdy kawał. Zauważyliśmy jednak, że Alfa nie interweniował nigdy, jeśli zamierzony kawał nasz nie dotyczył jego osoby. Stach mawiał, że gdybyśmy nawet na jego oczach przygotowywali pułapkę na któregoś z belfrów, matematyk odwróci się, aby nam w tym nie przeszkodzić.

Ostatni rok pobytu w internacie zachował się w naszej pamięci, jako rok wspaniałych i licznych kawałów urządzanych przez nieznanego sprawcę. Każdego roku w życiu internatu znalazło się kilka głośnych i dowcipnych lub wyjątkowo udanych kawałów, w tym jednak roku liczba tych kawałów przenosiła sumę ich z kilku ostatnich lat, pomysły zaś w ich urządzaniu i dowcip oraz nieuchwytność ich sprawcy nie miały w historii naszego internatu sobie równej.

Kawały te charakteryzowała zawsze jedna cecha: wymierzone były w słabostki poszczególnych naszych kolegów, miały zawsze jakiś sens moralny — jak mawiał nasz katecheta. Miały też w sobie zmuszający do śmiechu dowcip i zaprawione były taką dozą humoru, że najpoważniejsi nie tylko z nas, ale i z grona nauczycielskiego, musieli się z nich śmiać. Jednym razem był to humorystyczny rysunek, innym — udany wierszyk, jeszcze innym — wesoły figiel. Ani autora jednak rysunku, czy wiersza ani sprawcy figlów nie mogliśmy schwycić. Intrygowało to nas niewymownie, wzbudzało posądzanie najniewinniejszych kolegów, śledzenie posądzonych — wszystkie nasze zabiegi nie odnosiły żadnego skutku. Podziwialiśmy cierpliwość dowcipnisia i jego skromność, żaden z nas bowiem nie potrafiłby utrzymać w tajemnicy autorstwa tych kawałów. Najbardziej posądzanymi o autorstwo figlów płatanych byli uczniowie pierwszy rok uczęszczający do naszego gimnazjum; najpilniejsze jednak śledzenie ich nie zdołało odkryć tajemniczego humorysty.

Szczytem uznania dla jego pomysłowości i dowcipu było powiedzenie skąpego w słowach pochwalnych polonisty po jednym z figlów, który za chwilę opowiem.

— To niepospolicie inteligentny chłopak — powiedział polonista.

To powiedzenie polonisty wywołane zostało następującym figlem wyrządzonym koledze z klasy siódmej, znanemu w szkole pod przezwiskiem „Pawie Piórko". „Piórko" — jak nazywaliśmy go w skrócie — był tępym chłopcem. Przy swoim braku inteligencji był zdecydowanym próżniakiem, a przy tym w sposób denerwujący — próżnym, co było przyczyną, dla której otrzymał wspomniane przezwisko. Piórko więc obok swego lenistwa i tępoty lubił uchodzić za mądrego wyuczał się więc — mimo swego lenistwa — całych ustępów z mądrych i uczonych książek, by wyuczone zdania wygłaszać, jako swoje w towarzystwie panienek, którym w czasie ferii towarzyszył z zamiłowaniem. Znaliśmy te historie od Tadka, który pochodził z Pawim Piórkiem z jednej miejscowości i opowiadał nam „piórkowe" wyczyny w jego obecności.

Piórko miał trudności w pisaniu wypracowań polskich. Nasz polonista, bardzo wyrozumiały i najpoczciwszy z belfrów polskich, radził mu niejednokrotnie, aby pisał tak, jak umie, a dojdzie do pewnej wprawy i chociaż — jak polonista mawiał Sienkiewiczem nie będzie, list będzie umiał napisać. Ale Piórko był za leniwy i za próżny, aby chciał pisywać. Urządzał się więc na przestrzeni kilku lat w ten sposób, że płacąc owocami, znaczkami pocztowymi, a nawet pieniędzmi, kupował sobie wypracowania napisane przez innych kolegów. Wybierał sobie przy tym do swoich zamówień samych „asów" polonistycznych, gdyż — jak utrzymywał — nie wypada mu, aby miał wypracowanie gorsze od innych.

Pewnego dnia polonista polecił napisać klasie Piórka sprawozdanie z zawodów sportowych. Piórko — jak zwykle, nie mając zamiaru wypracowania tego napisać, zwrócił się do Stasia Dąbkiewicza z propozycją, aby ten zrobił to za niego. Dał mu w tym celu czysty zeszyt z wypisanym na pierwszej stronie tematem wypracowania. Staś zabrawszy zeszyt, udał się do swego pokoju, skąd go jednak po dwóch godzinach wyniesiono do infirmerii a następnie odwieziono do szpitala na skutek ataku ślepej kiszki, jakiego biedny chłopiec dostał niespodzianie. Piórko, który znajdował się z grupą chłopców i profesorem gimnastyki na spacerze połączonym z kąpielą w rzece, zmartwił się przygodą Stasia nie ze względu na jego osobę oczywiście, ale ze względu na swoje wypracowanie. Pobiegł też zaraz do pokoju który Staś dzielił z Heniem Staszewskim, w poszukiwaniu swego zeszytu. Odnalazł go ku swej radości z ładnie wykaligrafowanym przez Stasia — jak przypuszczał — sprawozdaniem ze sportowych zawodów. Zabrawszy zeszyt do swego pokoju, Piórko wypracowanie napisane przez Stasia przepisał do zeszytu, po czym poszedł ze spokojnym sumieniem spać.

Następnego dnia polonista wywołał do tablicy — Piórka, jako pierwszego i polecił mu przeczytać zadanie. Po kilku gładkich zdaniach przeczytanych przez Piórka, uczyniła się w klasie cisza, szereg bowiem chłopców dostrzegł w tych zdaniach coś znajomego. Polonista, który słuchał Piórka z uwagą, w pewnym miejscu nie zdołał wstrzymać duszącego go od dłuższego czasu śmiechu, parsknął więc rozgłośnie, a klasa zawtórowała mu ochotnie.

Parandowskiego „Dysk Olimpijski" był książką, którą każdy z naszych chłopców czytał kilkakrotnie. Piórko był jednak zbyt leniwy, aby tę piękną książkę przeczytać, nie mógł więc w wypracowaniu — napisanym rzekomo przez Stasia Dąbkiewicza — rozpoznać opisu biegu chłopców, znanych każdemu czytelnikowi „Dyska".

Po powrocie Stasia Dąbkiewicza ze szpitala okazało się, że chłopiec nie napisał wypracowania z tej prostej przyczyny, że natychmiast po powrocie od Piórka do swego pokoju, dostał bólów które go nie opuściły aż do zastosowania zabiegów w szpitalu. Mimo skrzętnych poszukiwań, sprawcy wyrządzonego figla nie odnaleźliśmy.

Aż przyszła historia z kluczami do łaciny. Na ostatnie — próbny egzamin maturalny, jak go nazwał łacinnik — wypracowanie klasowe z łaciny cała nasza klasa przygotowała sobie na wąskich paskach skręconego papieru klucze do przewidywanych na wypracowanie tekstów łacińskich. W sali przeznaczonej na odrabianie lekcji poskładaliśmy więczorem te papierki starannie i zachowaliśmy je w naszych kurtkach, aby pójść spać w błogim przekonaniu, iż nic nam następnego dnia nie grozi, ponieważ jesteśmy dobrze zabezpieczeni. Jakież było nasze zdumienie i przerażenie następnego dnia, gdy w czasie lekcji łaciny, która wypadła w programie dnia, jako pierwsza, po otrzymaniu od łacinnika tematów, na wyjętych z kurtek kartkach znaleźliśmy wszyscy zamiast tłumaczeń łacińskich — pouczające cytaty z pism mędrców i filozofów.

Ku naszemu pocieszeniu i zadowoleniu łacinnika wypracowanie wypadło wszystkim zupełnie dobrze, poprzysięgaliśmy mimo to jednak, że sprawcę wypłatanego nam figla odnajdziemy i damy mu nauczkę. Chodziło o honor najstarszej klasy!

Któż zdoła więc opisać moje zdumienie, gdy w kilka dni po tym wypadku do pokoju zajmowanego przeze mnie z Bolkiem Tabędzkim, wpadł on sam z nieprzytomnym wzrokiem i od progu zaczął wołać nieswoim głosem:

— Mam go! Mam go!

— Zwariowałeś? Kogo? — pytaliśmy go z Tomkiem, który przerabiał ze mną zadania fizyczne.

— Tego od kluczów łacińskich i od wszystkich figlów!

Kiedy się uspokoił, opowiedział nam wszystko dokładnie — i wówczas my z Tomkiem straciliśmy na długi czas spokój.

Alfa dyskutował na jakiś temat z historykiem w ogrodzie szkolnym, gdy spotkał ich znajdujący się na spacerze Bolek. Alfa przechodząc koło Bolka, zwrócił się do niego z właściwą sobie uprzejmością, prosząc aby mu zechciał przynieść z jego pokoju „Historię Filozofii", znajdującą się na biurku, jest mu bowiem potrzebna dla usunięcia wątpliwości, jaka powstała w wyniku jego dyskusji z historykiem. Bolek udał się do pokoju Alfy, tam jednak szukanej książki na miejscu wskazanym nie znalazł. Poszukując jej, otworzył szufladę biurka — i tam, na samym wierzchu, znalazł porządnie poskładane nasze karteczki z kluczami do tekstów łacińskich.

Kiedy ochłonęliśmy z wrażenia, jakie wiadomość ta na nas wywarła, zaczęliśmy zastanawiać się wspólnie, czy jest to możliwe, aby Alfa był sprawcą wszystkich kawałów zaszłych na przestrzeni całego roku szkolnego. Nie mogliśmy początkowo uwierzyć w taką możliwość, choć Bolek utrzymywał to z całym przekonaniem. Po dłuższych jednak rozważaniach doszliśmy do przekonania, że jest to nie tylko, możliwe, ale zupełnie pewne.

— Jak długo istnieje instytucja belfrów, tak długo instytucja ta takiego przedstawiciela nie miała — zapewniał nas Bolek.

Zgodziliśmy się z nim bez zastrzeżeń.

Odkrycie Bolka postanowiliśmy — chwilowo przynajmniej — zachować w najgłębszej tajemnicy. Obawialiśmy się, dla Alfy przykrych konsekwencji ze strony dyrektora i całej belferskiej society.

Wtajemniczyliśmy jednak w odkrycie Bolka kilku bliższych kolegów. Patrzyliśmy od tego dnia na Alfę innymi oczami — był dla nas obecnie zupełnie różnym od tego, jakiego znaliśmy dotychczas. Wydawał nam się teraz znacznie młodszy, sympatyczniejszy i bliższy niż dotychczas.

*

Nasza uczta maturalna trwała do północy. Żegnając się z nauczycielami po skończonym przyjęciu, spotkaliśmy się ze strony Alfy z propozycją wspólnej podróży, w którą udawaliśmy się dnia następnego pociągiem warszawskim.

Na dworcu — dziesięć minut przed odejściem pociągu — zjawił się przed nami elegancki, młody pan i zaczął się z nami witać jak z dobrymi znajomymi. Było nas dziesięciu, jadących we wspólnej grupie jednym pociągiem, ale żaden z nas w przybyłym nie poznał Alfy. Zgolenie brody zmieniło go do niepoznania. Kiedy któryś z chłopców zawołał głosem pełnym zdumienia: „to przecież Alfa" — poznaliśmy go dopiero.

Miał 23 lata i przed rokiem ukończył studia. Zamierzał poświęcić się pracy naukowej. Matematyka pasjonuje go, jakkolwiek — ani z wyglądu, ani z usposobienia — nie ma nic z typu matematyka, znanego nam z czasów gimnazjalnych. Przyjął w naszym gimnazjum posadę na rok, ponieważ zmusiły go do tego ciężkie warunki materialne Czuł się w gimnazjum bardzo samotnie. Ze względu na swój wiek miał ustawicznie obawy, że nie potrafi być dość poważny i nie będzie mógł zdobyć wśród uczniów autorytetu. Tym bardziej, że w jego usposobieniu uderzał ciągle jeszcze brak powagi. Zapuścił więc brodę. Mocny zarost, to więc zmieniło go zupełnie. Obawiał się bliższych zetknięć z uczniami, aby nie stracić nic z tej powagi, na którą zdobywał się z takim trudem.

Zarumienił się po dziewczęcemu, kiedy dowiedział się, że Bolek odkrył w jego biurku nasze klucze do łaciny. Przyznał się nam do wszystkich swoich figlów.

Krajowym winem piliśmy bruderszaft. Zaprzyjaźniliśmy się z nim i przyjaźń ta trwa do dnia dzisiejszego.

Z cyklu „Pomysły Januszka"

Samobójstwo

Januszek słynie w rodzinie z genialnych pomysłów, stanowiących doskonałe lekarstwo na wszelkie przykre okoliczności życiowe. Stosowanie przez niego tych pomysłów sprawia rodzinie niemało kłopotu, ale ja się nimi serdecznie bawię, bo — jak dotychczas — nie dotknęły mnie jeszcze nigdy bezpośrednio.

Zawsze dbała o spokój rodziny Danusia oddała brata do gimnazjum w odległym Koźminie. W maju bieżącego roku Januszek skończył gimnazjum. Ze zbliżającym się końcem roku szkolnego w rodzinie dawało się coraz częściej słyszeć z westchnieniem wypowiadane zdanie: „Niedługo Januszek przyjedzie"...

W ostatnim dniu roku szkolnego zapanował w rodzinie wielki ruch. Mama chowała po niedostępnych zakamarkach strychu i piwnicy soki, konfitury i marynaty; ojciec wprawiał angielski zamek do szafki z nalewkami i tytoniem, Danusia zaś z Nuną preparowały sobie za szafą schowanko na perfumy. Następnego dnia spodziewano się przyjazdu Januszka.

Tymczasem minęły trzy dni, a Januszek nie dawał o sobie znaku życia.

— Może w ogóle nie przyjedzie — wypowiadała Nuna gorące życzenie.

— E, ty zawsze jesteś marzycielką — rzucała z przekąsem Danusia.

Czwartego dnia poczta przyniosła list adresowany nieznajomą ręką, pisany jednak przez Januszka. W liście tym Januszek położył kres wszelkim nadziejom, związanym z jego osobą. W skąpych mianowicie słowach oznajmiał, iż umieściwszy niefortunnie serce, obrzydził sobie życie, wobec czego kładzie mu kres przez popełnienie samobójstwa.

Ze łzami radości i niedowierzania rodzina czytała pożegnalne słowa listu, po czym w domu ponownie zapanował ruch. Konfitury wróciły na swoje miejsce, nalewki dekoracyjnie ustawił ojciec na oknie, a kluczyki od angielskiego zamku walały się w pogardzie na biurku. Nuna tylko z Danusią pozstawiły swoje perfumy w schowanku za szafą.

Wieczorem tegoż dnia mamę, będącą z Nuną na spacerze, zaczepił młody, przystojny brunecik. Pan Bogdan — jak się brunecik przedstawił — był Januszka kolegą szkolnym i serdecznym jego przyjacielem. Stłumionym głosem chłopiec potwierdził wiadomość nadeszłą pocztą, po czym zreferował konieczność wyasygnowania sumy czterech tysięcy złotych na koszta związane z pogrzebem nieszczęśliwego kochanka.

Panie w towarzystwie gościa udały się do ojca, który dość chętnie wyłożył żądaną sumę, z własnej inicjatywy dołożywszy do niej tysiąc złotych tytułem zwrotu kosztów podróży wiernego przyjaciela synowskiego.

W dwa dni później, w porze obiadowej, powstał w domu niesłychany popłoch. Mama upuściwszy talerz z gotową już pianą, pobiegła pędem do spiżarni, gdzie gorączkowo układać zaczęła w wielkim koszu słoje i butelki, ojciec rzucił się do okna z nalewkami, które w pośpiechu ustawiać zaczął w szafie z wprawionym świeżo angielskim zamkiem.

Na podwórko — grając na nowych, świecących organkach „Szturmową" — wchodził z fantazją Januszek.

ali.

Szwajcarski przemysł zegarkowy

Mała Szwajcaria z około 41 000 km² powierzchni, odpowiadającej mniej więcej ⅛ naszego obszaru państwowego, jest jak i inne kraje alpejskie, uboga w minerały pożyteczne. Jedynie sól, której roczna produkcja wynosi przeciętnie 0,3% produkcji światowej, odgrywa ważniejszą rolę w gospodarce narodowej. Ponadto pewne znaczenie mają jeszcze wydobywane rudy żelaza, których górnictwo np. w roku 1938 dostarczyło w ilości 171 tys. ton oraz w znacznie mniejszych ilościach eksploatowany węgiel. Mimo jednak słabego występowania złóż podstawowych surowców kopalnianych, należy Szwajcaria do najbardziej uprzemysłowionych krajów świata: około 45% ludności pracuje bowiem w górnictwie i przemyśle. Miejsce węgla jako źródła energii zajmuje „węgiel biały". Siły płynącej wody, której zapasy ze względu na górzysty charakter kraju w Szwajcarii są dość znaczne w stosunku do powierzchni, w sile mniej więcej 2,5 mil. KM wyzyskano w ilości ponad 95%. Niewielka własna produkcji metali (poza aluminium) zadecydowała o specjalnym charakterze szwajcarskiego przemysłu metalurgicznego, którego rozwój szedł w kierunku produkcji artykułów, nie wymagających wielkich ilości surowców, a raczej przeważnie większego wkładu pracy, jako najważniejszego czynnika fabrykacji. W zakres tej produkcji wchodzą m. in. przyrządy mechaniczne, pomiarowe, obrabiarki, a szczególnie zegarki. Stanowią one najważniejszą pozycję w szwajcarskim wywozie: np. w roku 1938 około 20%. Liczba ta w czasie wojny nie ulegała większym zmianom.

Fabrykacja zegarków skoncentrowała się głównie w północnej części kraju, obejmując Jurę Szwajcarską z następującymi osiedlami: Le Locle, La Chaux de Fonds i Genewa.

Do niedawnych czasów ta — tak ważna dziedzina wytwórczości narodowej Szwajcarii — opierała się przede wszystkim na sposobie chałupniczym, przy czym w miejsce dawniej stosowanych metali szlachetnych: złota i srebra szerokie zastosowanie w produkcji znalazła stal. Liczba zatrudnionych w przemyśle zegarkowym robotników chałupniczych jednak już przed ostatnią wojną światowę malała z roku na rok i tak np. gdy w roku 1929 liczono ich około 7900, to w roku 1939 tylko jeszcze 3900. Na tę obniżkę pracowników chałupniczych wpłynęły: techniczny rozwój produkcji i żywa propaganda związków zawodowych, w związku z czym ilość pracowników zatrudnionych w zorganizowanych zakładach pracy znacznie wzrosła: np. gdy w roku 1937 było ich 37 700, to w roku 1942 38 700. Również uległa zmianie ogólna ilość robotników zatrudnionych w tej gałęzi produkcji, powiększyła się bowiem z 41 700 w roku 1939 do 46 000 w roku 1942, co świadczyło o pomyślnej koniunkturze, wyrażającej się np. w roku 1943 w eksporcie wartości ponad 300 mil. fr. szwajc.

Daleko idący podział pracy w obrębie samego przemysłu zegarkowego, wpłynął na powstanie wielkiej ilości małych przedsiębiorstw, charakteryzując specjalnie jego organizację. Dowodem tego był wzrost jednoosobowych zakładów pracy. Na 100 przedsiębiorstw było takich w roku 1929 — 64, w roku 1939 — 70. Ogólna zaś ilość przedsiębiorstw fabrykacji zegarków również się powiększyła z 2386 w roku 1929 do 2462 w roku 1939. Ten podział zróżnicowany na szereg mniejszych przedsiębiorstw miał nie tylko swoje socjalne, ale przede wszystkim polityczno-gospodarcze znaczenie. Miał uchronić Szwajcarię przed utratą monopolu produkcji zegarków, co zresztą dotychczas osiągnięto przez prowadzenie wspomnianej polityki przemysłowej. Zagwarantowała ona nadal Szwajcarii dominujące stanowisko na rynku światowym, na który dostarcza około 75% wszelkich zegarków.

Powojenna wielka chłonność wszystkich państw na zegarki zapewnia szwajcarskiemu przemysłowi zegarkowemu dalszy wielki zbyt, a tym samym i rozwój. **A.H.**

Kraina owoców i bawełny

M. Lesnow

Zielona jest dolina Fergany

KORESPONDENCJA Z UZBEKISTANU DLA „DZIENNIKA ZACHODNIEGO"

O świcie samolot wystartował z Taszkientu, wziąwszy kurs na Ferganę. Lecieliśmy nad bawełnianymi polami, a wkrótce w świetle wschodzącego słońca ukazały się góry. Pilot skierował ku nim maszynę i niezadługo przelatywaliśmy między dwoma szczytami. Za nimi ukazał się naszym oczom widok bezkresnej, tonącej w zieleni doliny. Jeszcze dwadzieścia minut lotu — i samolot zniża się do lądowania.

Fergana! Zaciszne, dosłownie zatopione w zieleni miasteczko. Nad jego ulicami konary pięknych drzew tworzą zielone sklepienie, pod którym płynie ożywiony ruch. Uzbecy jeżdżą po ulicach miasteczka na samochodach, koniach, rowerach i wielbłądach. Przejeżdżamy obok ruchliwego, barwnego bazaru wschodniego, po czym wjeżdżamy na słoneczną drogę. Jedziemy do kołchozu.

Podstawowa masa ludności fergańskiej — włościanie hodują piękną bawełnę, z powodzeniem zajmują się hodowlą jedwabników, są sławni, jako niestrudzeni, doskonali ogrodnicy.

Ziemia tutejsza obdarzona jest obficie wodami. Już z samolotu widzieliśmy geometrycznie rozbudowany system kanałów związanych z rzeką Syr-Daria. Za pracę koło niej ziemia płaci szczodrze swymi płodami.

Wjeżdżamy do wsi. Jest to kołchoz imienia Frunzego. Przewodniczącego kołchozu odnajdujemy z trudem w sadzie. Okazało się to nie tak prostym zadaniem. Sad, który uderza nas swoim ogromem, obejmuje przestrzeń 40 hektarów. W poszukiwaniu przewodniczącego kołchozu szliśmy niekończącymi się alejami z drzew owocowych. Brzoskwinie, rozliczne gatunki grusz, migdały, pigwy, orzechy, winogrona, jabłonie, granaty i obfitość kwiatów, głównie róż, — to wszystko barwiło się i dyszało mocnym aromatem, garnęło się ku słońcu.

W brzoskwiniowej alei spotkaliśmy przewodniczącego kołchozu, 36-letniego, krępego, ogorzałego człowieka. Jak wszyscy Uzbecy — przewodniczący Abdułła Rachmanowicz okazał się bardzo gościnnym. Nie minął kwadrans, jak pod ogromnym, wiekowym drzewem siedzieliśmy na barwnym dywanie, tocząc interesującą pogawędkę. Rachmanowicz rozpytywał nas o Moskwę, a sam rozpowiadał nam o kołchozie. Kołchoz zakończył z powodzeniem zeszłoroczną kampanię gospodarczą, oddając więcej bawełny, niż to było przewidziane.

— Jaki dochód osiągacie z kołchozu — pytamy.

— 10 milionów 250 tysięcy rubli — pada odpowiedź.

Podchodzi ku nam człowiek w białej kurtce i w białych, wąskich spodniach.

— Jeszka Mierzajew — przedstawia go nam przewodniczący kołchozu.

Mierzajew ma 60 lat, ale wygląda zdrowo i silnie. Jest to jeden z fergańskich czarodziejskich ogrodników. Wespół ze swoimi ludźmi pustynne miejsce, na którym stało tylko kilka drzew pojedyńczych, zamienił w królestwo bujnej zieleni i owocowej obfitości.

Mierzajew zaznajamia nas z sadem i kreśli nam jego biografię. Ten oto masyw brzoskwiń posadzony został w latach wojny — w 1942 r. Stojące strojnym rzędem czereśnie zasadzono w następnym roku. Winnice są zupełnie młode — rok 1945 jest rokiem ich powstania. W tej chwili kołchoz powiększa swój sad o nowych 31 hektarów.

Pytamy ogrodnika o jego rodzinę. Syn jego poszedł w ślady ojca — pomaga mu w pracy ogrodniczej, na której zna się doskonale. Córka ukończyła w Samarkandrze Instytut medyczny i pracuje w charakterze lekarki w Ferganie.

— Miałem jeszcze jednego syna. Był również lekarzem, lecz zginął na wojnie — mówi ogrodnik z dumą.

Oglądamy domki członków kołchozu. Każdy z tych domków — ogrodzony wysokim płotem — przypomina małą twierdzę. Obok każdego domku znajduje się ogródek z owocami i kwiatami.

Pokazują nam hodowlę jedwabników. Karmią je liśćmi drzew morwy. Drzew tych jest w Fergamie 35 milionów. Hodowla jedwabników jest bardzo popłatna. Państwo płaci za kupowane kokony doskonałą cenę, wieśniacy więc miejscowi hodowlą tą zajmują się bardzo chętnie.

W mieszkaniach Uzbeków znajdujemy książki i gazety, radia i maszyny do pisania. Wszystkie domy są zelektryfikowane. Kołchoz posiada swój młyn wodny, elektrownię, szkołę, żłobek i ogródek dziecięcy.

Przyprowadzają nas pod duży, dwupiętrowy budynek. Ściany jego mają zapach świeżego lasu. Jest to dom wypoczynkowy dla pracowników miejscowego kołchozu. Dom nie jest jeszcze całkowicie wykończony. Wchodzimy do środka budynku. Zamiast ławek znajdują się tu szerokie, prostokątne podwyższenia, zasłane cudnymi dywanami wschodnimi. W domu tym Uzbecy znajdują wypoczynek, słuchają muzyki, czytają i piją swoją ulubioną — tak świetnie gaszącą pragnienie — herbatę zieloną.

Ściany wewnętrznych pomieszczeń zarysowane są kolorowymi mapami i obrazami. Mapy przedstawiają góry, rzeki, oazy i kanały fergańskie. Treścią obrazów są tańczące Uzbeczki, bohaterskie postacie Uzbeków i epizody z wojennych działań wojsk sowieckich.

Interesuje nas, kto jest autorem tych artystycznych prac. Okazuje się, że wykonali je miejscowi młodzieńcy — Markuziew, Usanow i Mazmudow. Wszyscy trzej młodzi artyści wybierają się na studia do stołecznej Akademii Sztuki. Jesienią złożą tam swoje podania.

Zarówno elektrownia, szkoła i żłóbek dziecięcy — jak i widziane przez nas prace artystyczne wykonane są rękoma miejscowych kołchoźników.

— Tylko w kołchoźniczej wspólnocie jest to możliwe — powiada przewodniczący kołchozu.

Jego zdaniem rolnik pracujący na gospodarstwie samodzielnym nie jest nigdy w stanie zapracować tyle, ile przy systemie gospodarstwa kolektywnego.

— Otrzymaliśmy za dzień pracy roku ubiegłego tyle, ile nigdy byśmy samodzielnie nie zdołali otrzymać, Kołchoz stał się dla nas drogim, jak własny dom — powiada nam przewodniczący kołchozu.

Niedawno odwiedziła kołchoz delegacja angielskiego parlamentu. O wizycie tej tak opowiada nam przewodniczący kołchozu:

— Pokazałem im wszystko dosłownie, co ich interesowało. Obeszliśmy 23 mieszkania kołchoźników, pokazałem Anglikom wszystkie nasze bogactwa, im się ciągle jednak zdawało, że zatajam coś przed nimi. Prosili mnie ustawicznie o jakieś dodatkowe wiadomości i informacje. Rozmawiałem z nimi z całkowitą szczerością, oni mi jednak ciągle nie dowierzali. Czyżby wyobrażali sobie, że ja nie jestem rzeczywistym przewodniczącym kołchozu, tylko jakąś podstawioną osobą? Cóż to za ludzie? Było mi doprawdy bardzo nieprzyjemnie.

— Najbardziej ich interesowało czy kołchoz rozwija się ekonomicznie, czy jego sytuacja materialna poprawia się. Pokazałem im wszystkie nasze domy, wszystkie pomieszczenia i całe ulice pobudowane przez nas w poprzednich lata. Jeden z Anglików zapytał mnie ile mamy koni i wielbłądów. A mamy koni 123, przy czym 36 oddaliśmy na wojnę. Wielbłądów posiadamy 40. Anglika interesowało, ile koni było u nas przed powstaniem kołchozu. Zdumiał się bardzo, gdy dowiedział się, że w okresie organizowania kołchozu wielbłąda w wiosce naszej nie było ani jednego, koni zaś było zaledwie 7. A tak samo przedstawiała się sprawa z owcami, pszczołami i sadami.

Rozmawiamy znowu o owocach. Dają nam skosztować soczystych, średnioazjatyckich czereśni. Ogrodnik powiada:

— Mamy piękne czereśnie w tym roku. Uzbecy mają zwyczaj posyłania pierwszych płodów temu, kogo najbardziej szanują i kochają. Zaraz po dojrzeniu czereśni wysłaliśmy nasz skromny podarunek samolotem do Moskwy, dla Stalina.

Żegnamy gościnny kołchoz. Znowu mamy przed sobą drogę wśród niekończących się pól bawełny. Fergańska dolina jest doliną jej obfitości. Z każdym rokiem wzrasta i rozwija się tu ta cenna kultura.

Zajeżdżamy po drodze do kołchozu im. Stalina. Kołchoz ten w roku zeszłym zasadzał 755 hektarów bawełną, w roku bieżącym zasadza nią 1105 hektarów, na ogólną powierzchnię 1770 posiadanych hektarów.

Mimo ogromnych rozmiarów kołchozu jego kierownik wespół ze swoimi pracownikami, rekrutującymi się z miejscowych wieśniaków, doskonale prowadzą gospodarstwo, z każdym rokiem pomnażają jego bogactwo, a równocześnie z tym — materialny stan każdego kołchoźnika.

Obok jednego z domostw spotykamy grupę ludzi otaczającą po miejsku ubraną kobietę. Zbliżamy się ku żywo rozprawiającej grupie i ze zdumieniem poznajemy w ubranej po miejsku kobiecie znaną artystkę uzbekistańską, której imię sławne jest daleko poza granicami republiki. To Sara Iszanturajewa, o której jedna z moskiewskich gazet pisała niedawno, że jest artystą stojącą w rzędzie najlepszych artystek sowieckich. Cóż ona tu robi?

Sara Iszanturajewa jest deputowaną do sowieckiego parlamentu i przyjechała tu, do odległej wioski, aby na miejscu odpowiedzieć na szereg pytań, w sprawie których dostała listy od swoich wyborców. Trzeba było widzieć z jakim ożywieniem toczyła się rozmowa aktorki-deputowanej z wieśniakami — wyborcami.

Nic w tym dziwnego. Sara Iszaturajewa, obowiązkowa i wspaniała kobieta, zachwycająca swoim talentem również tych, którzy nie znają języka uzbeckiego, opowiada nam o swoim życiu — życiu człowieka pochodzącego z ludu. Po tej opowieści stało się dla nas jasne jak bardzo jest ona dla prostego człowieka bliska i zrozumiała.

Artystka opowiada nam:

— Urodziłam się jako córka biednych rodziców i zostałam oddana na wychowanie do obcych ludzi. Miałam zaledwie 12 lat, gdy przybrani rodzice sprzedali mnie w charakterze żony bogatemu, staremu człowiekowi. Przy pomocy przyjaciółki uciekłam od niego i wkrótce dostałam się do internatu zakładu wychowawczego dla dzieci. Wkrótce po przybyciu do internatu zabrano mnie do teatru, z którego wyszłam oczarowana. Natychmiast po powrocie z teatru zapisałam się do istniejącego w internacie kółka dramatycznego. Sama napisałam krótką sztukę i wystawiłam ją wraz z koleżankami.

W roku 1923 Iszanturajewa jedzie do Moskwy i na przestrzeni 4 lat studiuje tam w Studium Teatralnym. Po ukończeniu Studium wraca do Uzbekistanu. Wkrótce jej sława artystyczna roznosi się po całej republice. Wybierają ją deputowaną do sowieckiego parlamentu, otrzymuje też tytuł artystki narodowej. Na uzbeckiej scenie grała wielokroć role Desmedony, Ofelii i Laurencji. Gra z ogromnym powodzeniem w sztukach Szyllera i Beaumarchais, Ostrowskiego i Szekspira, Gogola i Moliera. Specjalnym powodzeniem cieszył się jej występ w „Hamlecie", wystawianym jeszcze przed wojną. Spektakl ten na scenie teatru uzbekistańskiego szedł przy przepełnionej sali w ciągu 25 dni bez przerwy. Aby obejrzeć utwór Szekspira i wspaniałą grę Iszanturajewy przybywali ludzie nietylko z zapadłych kątów Uzbekistanu, ale również z sąsiedniej republiki Tadżyckiej.

Na kilka dni przed spotkaniem z wielką artystką w kołchozie im. Stalina, widziałem ją w Taszkiencie w roli Desmedony w „Otellu". Artystka przeżycia bohaterki oddawała z taką prawdą, z takim artyzmem, mistrzostwem i subtelnością, iż widzowie Uzbecy śledzili jej grę z najwyższą uwagą, najwyższym napięciem i wzruszeniem.

W tej chwili wielka artystka radzi z kołchoźnikami o bawełnie i maszynach. Jej rozmówcy dzielą się z nią swymi myślami i pragnieniami chętnie, wiedzą bowiem, że mają przed sobą człowieka, który służy narodowi nietylko swoim talentem, ale i energiczną działalnością deputowanej.

Objeżdżamy fergańską dolinę z jej miastami Kakandem, Margełanem i innymi. Dolina ta — położona wzdłuż rzeki Syr-Daria oczarowuje nas swoją pięknością. Jest ona okrążona małodostępnymi łańcuchami gór Tian-Szania i Pamira-Araja. U podnóża gór spoczywają malowniczo rozrzucone osiedla. Ta dolina jest centralnym rejonem bawełnianym Średniej Azji. Bawełna stąd pochodząca daje cienkie i białe włókno. Oglądaliśmy tam jednak nie tylko bawełniane pola. Pszenica i lucerna, przepiękne plantacje ryżu i winnice bujnie rozrastają się tam, a po pastwiskach pasą się duże stada.

Fergana — to rejon kwitnących gospodarstw rolnych, a obok tego baza stale rozwijającego się przemysłu. Do czasu rewolucji nie było w Uzbekistanie ani jednej fabryki, uzbekistańskie zaś kokony jedwabnicze przędzone były za granicą. Obecnie uzbekistańska republika ma dziesiątki i setki swoich przedsiębiorstw. Należą do nich czyszczalnie bawełny, przędzalnie, olejarnie, suszarnie owoców i wiele innych zakładów. Wszystkie one wybudowane są niedawno, wszystkie zaopatrzone są w nowoczesne urządzenia.

Nie tak dawno odkryto w fergańskiej dolinie bogate źródła ropy naftowej. W tej chwili wydobywa się tam corocznie setki tysięcy ton wysokowartościowej nafty. Wydobycie to wzrasta z każdym miesiącem.

Odkryto również w Ferganie ogromne zapasy gazów ziemnych, które wkrótce będą służyć gospodarce Uzbekistanu.

Sowiecki Uzbekistan nie jest wyłącznie rejonem dostarczającym bawełny. Rejon ten stanowi również sowiecką bazę przemysłową. Wystarczy powiedzieć, że republika ta dostarcza różnym dzielnicom ZSSR kompresorów, przewodów elektrycznych, lamp radiowych, wodnych turbin, maszyn rolniczych, cementu i wielu innych produktów przemysłowych. Wszystkie one noszą napis „Wykonano w sowieckim Uzbekistanie".

Samolot nasz zatacza szerokie koło nad zielonym lotniskiem i orientując się na wstęgę Syr-Darii, płynie nad zieloną fergańską doliną, w której ujrzeć można tyle owoców kolektywnego trudu, ponoszonego chętnie dla wolnej ziemi sowieckiej.

(Tłum. k. g. m.)

Rozrywki umysłowe

50. Konkurs Rozrywkowy i Autorski

Część I.

Począwszy od Nr-u niniejszego wprowadzamy nowy system nagradzania Czytelników. Będziemy przyznawali za każdą zagadkę jedną nagrodę, która będzie rozlosowana wśród Czytelników, którzy nadeślą jej rozwiązanie. W ten sposób spełniony będzie wreszcie postulat wszystkich Czytelników, aby dać proporcjonalne szanse nagród szaradzistom mocniejszym i słabszym. W obecnym systemie szaradziści mocniejsi, którzy rozwiążą wszystkie zadania, będą uczestniczyć w trzech losowaniach, a szaradzista początkujący, który przyśle rozwiązanie jednego tylko zadania — będzie uczestniczył w jednym losowaniu. Oczywiście wchodzi w grę jeszcze czynnik szczęścia.

Równolegle z nagrodami za rozwiązanie nagradzać będziemy autorów na podstawie ogólnego głosowania Czytelników. W ostatniej części 50 Konkursu Rozrywkowego i Autorskiego umieszczony zostanie kupon do głosowania za pomocą którego Czytelnicy wybiorą trzech autorów najlepszych zadań. Autorzy ci zostaną nagrodzeni wartościowymi książkami.

1. KRZYŻÓWKA SZKIELETOWA
(ul. Eug. Matwiejczuk)

Przy rozwiązaniu krzyżówki szkieletowej należy oprócz odnalezienia wyrazów według podanych znaczeń, odtworzyć również położenie czarnych pól. Rysunek jest ściśle symetryczny (względem obu osi i środka symetrii), więc po ustaleniu miejsca pola czarnego, od razu można wrysować trzy jego symetryczne odpowiedniki. (Za wyjątkiem rzędów środkowych).

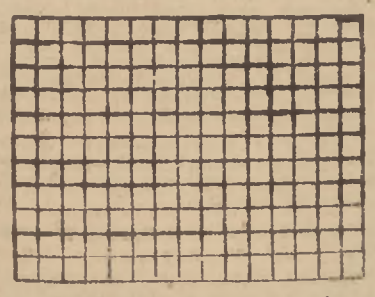

W krzyżówkach tego typu nie używa się w ogóle słów dwuliterowych. Dla ułatwienia podajemy, że w niniejszej krzyżówce początki słów 5, 10, 25, 28, 42, 45 znajdują się w jednej kolumnie pionowej.

Znaczenie wyrazów: Pionowo: 2. teolog u Turków, 3. narty, 4. zabawa, 5. przydomek szlachecki u Hiszpanów, 6. czarodziej, 7. zawody na ustalonej trasie, 9. ścianka z obrazami w cerkwiach prawosławnych, 11. wzrost roślin, 12. skrót najpoważniejszej instytucji literackiej, 13. włoska nazwa miasta Naupaktos, 14. nasz w języku esperanto, 15. prawy dopływ Wołgi, 16. rodzaj roślin z rodziny Orchidaceae, 17. lewy dopływ Renu, 22. ptak z rzędu papug, 23. prawy dopływ Dunaju wspak, 25. hasło gospodarcze w Rosji Sowieckiej w latach dwudziestych, 26. oprawca, 29. bierze, chwyta, 31. prababka Dawida, 33. wół tybetański, 33. przeciwstawienie stanu czuwania (l. mn.) 34-a imię żeńskie, 37. prawy dopływ Dunaju, granica między Austrią Górną i Dolną, 39. termin sportowy, 40. lewy dopływ Dunaju w Bawarii, 42. wulkan na wyspie Mindanao, 43. liczba.

Poziomo: 1. udział w stowarzyszeniu górniczym, 4. magnat hiszpański, 5. zwierzę płetwonogie morskie, 8. kolor czarny przy żałobie, 10. zaimek wskazujący, 12. ptak z rodziny pelecanidae, 15. miasto portowe w prowincji Porto Mauricio, 18. dusza, po łacinie, 19. pierwotny mieszkaniec Peru, 20. góra w Azji mniejszej, 21. niezamężna, 24. załącznik, 27. imię biblijne, 28. państwowa posada stela, 30. tytuł arabski, 32. miejsca wypoczynku wojska w czasie marszu (wspak), 34. podanie bajeczne, 35. stolica republiki baszkirskiej, 36. główna rzeka Europy zachodniej, 38. zarozumialec, bezczelny, 41. więzy, 44. owad, 45. ptak z rodziny Callidae, 46. imię jednego z wodzów Izraelskich, 47. przełęcz w Karpatach, 48. niechęć, uraza, złość.

2. PRZESUWANKA KOŁOWA
(ul. M. Juroszek)

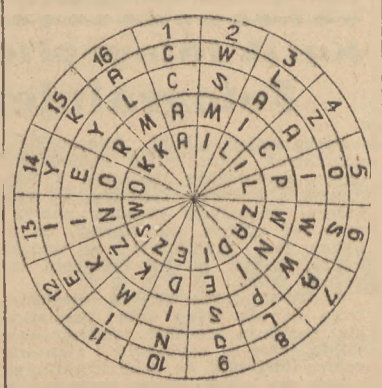

Względem nieruchomej tarczy cyfrowej obracamy tarcze literowe kolejno: pierwszą, drugą, trzecią i czwartą na przemian w lewo i w prawo o pewną ilość miejsc, przy czym ilości te tworzą postęp arytmetyczny. Czytając następnie w kierunku dośrodkowym otrzymamy rozwiązanie. Początek znajduje się pod cyfrą 1.

3. ZADANIE MATEMATYCZNE
(ul. inż. M. Orlicki)

Z miasta A wyjeżdża pociąg z szybkością 40 km na godzinę. Po jakimś czasie z tegoż miasta A wyjeżdża drugi pociąg i zdąża w tym samym kierunku z szybkością 60 km na godzinę. Powinien on przybyć do miasta B jednocześnie z pierwszym pociągiem. Ale pierwszy pociąg po przejściu trzech czwartych odległości między A i B, zmniejszył swoją szybkość o połowę, przez co drugi pociąg dopędził pierwszy w odległości 45 km od B. Znaleźć odległość między miastami A i B.

* * *

Losowanie trzech nagród za powyższe trzy zadania zostanie przeprowadzone dnia 5 września 1947 r., o godzinie 12-ej.

ROZWIĄZANIE ZADAŃ Z Nr 30 „ŚWIAT i ŻYCIE"

14. Szarada literowa: Ojczyzna.

15. Krzyżówka szkieletowa:

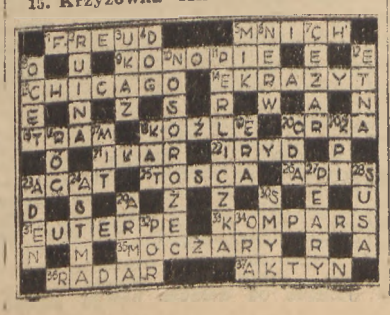

PRZY BUDOWIE

— No powiedz mi, czy już masz dosyć, czy też ci jeszcze potrzeba trochę cegieł? („Dikobraz")

Kącik szachowy

Często zachodzącą monotonię partii przerywają zwykle „krótkie spięcia", momenty największego natężenia uwagi, najżywszego zainteresowania i rozognienia partnerów. Przedstawiamy jedną z takich sytuacji, które szachowym „dreszczem" przejmują partnerów, a nawet ich otoczenie. W tegorocznych mistrzostwach Moskwy w partii Simagin — Aronin doszło do następującej pozycji:

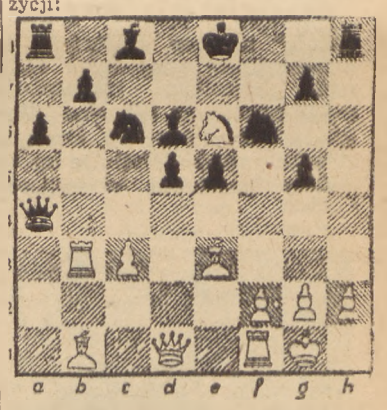

Białe: Kg1 Hd1 Wb3 Wf1 Gb1 GE3 SE6 Piony: c3 f2g2h2(11).

Czarne: KE8 Ha4 Wa8 Wh8GC8Gd8Bc6Sf6 Piony: a6b7d5E5g7g5(14).

Słabsze o figurę lekką i 2 piony białe będąc na zagraniu, zrobiły posunięcie Wb3 × b7 i zagroziły podwójnie: małym Gb1 — g6, albo biciem hetmana czarnych na a4. Zdawało się, że dla czarnych nie ma ratunku. I w tym momencie nastąpiła wspaniała parada: E5 — E4 i znowu białe znalazły się przed alternatywą: wymiany hetmanów z przegraną końcówką, albo pogodzenia się z nierozegraną. Wybrały oczywiście ewentualność drugą: Nastąpiło: Białe Hd1 × a4. Czarne GE × h2 + B. Kg1 — h1, Cz. Gh2 — g3 + B. Kh1 — g1 B. Gg3 — h2 + i remis przez wieczny szach. Należy przypuszczać, że obydwaj zawodnicy zadowoleni byli — co rzadko się zdarza — ze swej gry i jej wyniku (Diagram i posunięcia w/g czasop. „Wolność").

SZACHY W SZKOLE

Mowa oczywiście (z różnych względów) o szkole średniej. Główne przedmioty nauki szkolnej posiadają następujące dane: 1) treść, która jest podstawą dalszych studiów, mających już bezpośrednie zastosowanie w późniejszej pracy zawodowej (np. matematyka dla przyszłego inżyniera albo biologia dla lekarza), 2) formę nauczania kształcącą w krytycznym myśleniu i logicznym wyrażaniu się w słowie i piśmie, uczącą poszukiwania przyczyn i wyciągania wniosków. Szachy posiadając jedynie atrybut 2-gi, nie mogą być głównym przedmiotem naukowym. Jeżeli jednak porównamy je z gimnastyką, która nie posiada żadnej z wymienionych wartości, to stoją o wiele wyżej, ucząc — podobnie, jak matematyka — ścisłości, dalekiego przewidywania i odwagi ryzyka połączonego z ofiarą. — Należy również liczyć się z wrodzoną człowiekowi skłonnością do zabawy i tutaj trzeba by powtórzyć za genialnym szachistą amerykańskim, P. Morphym, że świat stałby dzisiaj o wiele wyżej, gdyby gra w szachy udało zastąpić człowiekowi grę w karty. Uczą też szachy porządku, solidarności, harmonijnej konstrukcji i zespołowej współpracy. — Ta suma: można by wprowadzić szachy do szkoły jako przedmiot nadobowiązkowy, a dopóki nie ma odnośnego zarządzenia władz, zakładać i popierać szkolne kółka szachowe.

Sc. Ach.

Apteka w ogrodzie i na łące

Reportaż i zdjęcia A. Nowosielskiego

Prawoślaz

Karmiąc się tabletkami, zastrzykami i proszkami, zapomnieliśmy co zawdzięczaliśmy i co ciągle zawdzięczamy ziołom leczniczym. Zioła, to pierwsze leki ludów pierwotnych, to pierwsza apteka Hipokratesa i Galena, to wreszcie podstawowy element w dzisiejszej farmacji. Zmieniały się sposoby przeróbki, ale surowiec — roślina lecznicza — pozostał. Wielka apteka przyrody darzy nas nieprzebranymi skarbami, od cukierków ślazowych do penicyliny i streptomycyny. Dzieje cukierków ślazowych, zaczęły się od momentu, kiedy do prowincjonalnej apteki przyszła mała wiejska dziewczyna, przynosząc pęk ziela zwanego prawoślazem. Ziele to odpowiednio przerobione i podane, jest znakomitym środkiem przeciwkaszlowym. O jego zastosowaniu świadczy fakt, że przed wojną sprowadzaliśmy go około 150 ton rocznie. To znaczy, że o tyle zamało uprawialiśmy go u nas.

Wracając do sprawy „sprowadzania" musimy stwierdzić, że przedwojenna gospodarka roślinami lekarskimi sprowadzała się poprostu do rabunku. Wyniszczyliśmy zupełnie kruszynę (franguls alun) dlatego, że kg. tej rośliny kosztował w eksporcie

Rycynus

około 80 dolarów, wyniszczyliśmy prawie zupełnie czarne porzeczki. Wyniszczyliśmy i wyniszczamy przez bezmyślność i lenistwo zioła mające ogromne zastosowanie w lecznictwie. Nierzadko oglądać można oryginalny i specyficzny sposób zbierania kwiatu lipowego: zbierający dla uproszczenia i wygody obłamuje całe gałęzie, aby poobrywać kwiat. W podobny sposób „zbieracze" upraszczają sobie sprawę z jarzębiną. Tysiącznik, będący pod całkowitą ochroną, to znaczy, że nie wolno go ani kupić, ani sprzedać wyrywany jest z korzeniami. Przykłady takiego braku kultury można by wymieniać bez końca.

Mój rozmówca i przewodnik, a zarazem kierownik plantacji ziół w Zakrzowie, majątku Samopomocy Chłopskiej, położonego w odległości 14 km od Koźla, insp. Olesiński zapala się do tego tematu. Jak się dowiaduję, jesteśmy opóźnieni w hodowli roślin leczniczych przynajmniej o 150 lat w stosunku do reszty Europy. 30 ha plantacja, w Zakrzowie jest właściwie początkiem zamierzonych prac w dziedzinie hodowli roślin. Wyniki osiągnięte

Kozłek — waleriana

dotychczas dają rękojmię, że Zakrzow będzie miał zioła w takiej ilości, że starczy ich i na wywóz.

Rośliny, ich kształt, wygląd i nazwy przesuwają się przed moimi oczami jak w kalejdoskopie. Dowiaduję się, że digitalis, zwany po polsku naparstnicą, będący silnym środkiem nasercowym, zebrany w niewłaściwym czasie — staje się silną trucizną. Wysuszony niewłaściwie — przestaje być środkiem leczniczym. Dowiaduję się, że Zakrzów mający własną nowoczesną suszarnię, jest monopolistą na dostawę tego środka.

Obok digitalisu, rośnie rozłożysty rycynus. Z niego wytwarza się niezawodny olej rycynowy. Bieluń-datura, środek przeciw astmie, rozsiadł się dostojnie, wyciągając szerokie ramiona. To tak niepozornie wyglądające ziele — to lubczyk. Kiedyś, jak mówią opowieści lud., nasze babki używały go w charakterze niezawodnego środka miłosnego. Dzisiaj ma inne, bardziej prozaiczne zastosowanie — służy do wyrabiania bulionu w kostkach.

— Co robi w hodowli tytoń? — pytam, widząc znajomą sobie roślinę. — Uszlachetniamy gatunek „havany" i badamy jego możliwości rozwojowe. Przy oglądaniu pola ze szlachetną odmianą mięty, dowiaduję się historii Zakrzowa, zwanego kiedyś Ogrodem Róż.

Tytoń

Mięta

Pod koniec wojny, alianci zbombardowali starannie (systemem dywanowym) plantacje mięty znajdujące się pod Berlinem. Ponieważ okolice Koźla i Raciborza, eksportujące przed wojną swoje warzywa do Polski, z dobrze rozwiniętym warzywnictwem miały odpowiednią glebę i klimat do hodowli tej cennej rośliny, zebrano resztki mięty i przywiezione je do Zakrzowa. Mimo 6-tygodniowego trwania frontu, przechodzącego przez środek Zakrzowa i prawie zupełnego wyniszczenia tej rośliny, posłużyła ona do zapoczątkowania obecnej plantacji. Dzisiaj pracuje na niej 215 osób. Zbudowano własną suszarnie ziół, odbudowano niemal od fundamentów budynki mieszkalne i zabudowania gospdarcze. Zakrzów mający prócz 30 ha plantacji, 130 ha ziemi ornej i 25 ha pięknej wikliny, ma dzisiaj piękny inwentarz żywy i martwy.

Woj. śląsko-dąbrowskie, aby uniezależnić się od dowozu, musi mieć na swoje potrzeby 400 ha ziół. Ma ich tylko około 80 ha.

Raciborszczyzna z jej wysoką kulturą gleby, pozwoli na usunięcie tej dysproporcji. Przedwojenne zaniedbania na tym odcinku muszą być i będą odrobione.

Porównując Zakrzów dzisiejszy, z fotografiami sprzed 2 lat i roku — wierzę, że zaległości odrobimy.

Datura — Bieluń

Skrzyp

Księżycowy kalendarz

Mimo ożywionych stosunków międzynarodowych we wszystkich dziedzinach życia do dziś jeszcze szereg państw i narodów zachowuje dawne, przeżyłe zwyczaje stosunki te utrudniające. Do takich należy np. stosowanie w Anglij i Ameryce niemetrycznych miar, do nich też stosowanie przez pewne narody odmiennych kalendarzy. Do państw stosujących odmienny od nas kalendarz należy dziś jeszcze Turcja. Jakkolwiek postępowi Turcy stosują już dość dawno zarówno w życiu prywatnym, jak i w stosunkach handlowych, kalendarz znany i stosowany u nas i u większości cywilizowanych narodów, spora część Turków do dnia dzisiejszego jeszcze posługuje się kalendarzem staro-tureckim, którego zasady po krótce poniżej wyłożymy.

Lata kalendarzowe tworzone były wśród wszelkich ludów pod dwojakim kątem: cywilnym — jeżeli tak można określić — i religijnym. To, co określiliśmy mianem „cywilnym" określić należałoby mianem naukowego punktu widzenia, jeśli weźmiemy pod uwagę wcześniejsze okresy historyczne, okresy, w których nauka poczyniła postępy kwalifikujące do poważnego, a często nieomylnego traktowania jej osiągnięć.

Kalendarz staro - turecki powstał na religijnym właśnie podłożu. Dobę zaczynają Turcy liczyć od zachodu słońca, przy czym dzielą ją na dwie dwunastogodzinne połowy, zwane z perska c z e b (noc) i r u z — dzień. Godziny liczą podobnie jak my — od 1 — 12. Podobny sposób liczenia czasu posiada tę niedogodność dla człowieka przyzwyczajonego do posługiwania się zegarkiem, że zegarek, któryby miał wiernie wskazywać czas, musiałby być nastawiany codziennie, ponieważ zarówno wschód, jak i zachód słońca w różnych dniach pór roku ma miejsce w niejednakowym czasie. Niedogodność tę oczywiście spostrzegli Turcy już dawno, niemniej jednak stosowali ten sposób obliczania czasu, a dyktowały go zwyczaje religijne, nakazujące Turkom odprawianie modłów pięciokrotnie w ciągu dnia w ściśle przepisanych, a od wschodu i zachodu uzależnionych porach dnia.

Nazwy dni tygodnia przejęli Turcy od Arabów, nadając im swojskie brzmienie. Nazwy te brzmią: A h a d - niedziela; E s n e i n - poniedziałek; s a l a s a - wtorek; E r b u a - środa; C h a m i s - czwartek; D ż u m a - piątek; S e b t - sobota.

Dla określenia miesięcy Turcy w kalendarzu swoim przyjęli pory księżycowe i słoneczne. Te dwa też okresy nadały odpowiednim (księżycowym i słonecznym) miesiącom nazwy. Miesiące księżycowe noszą (również wzięte z arabskiego) nazwy: 1. M u h a r r e m, 2. S a f e r, 3. R e d ż e b, 4. S z a b a n, 5. R e b i u l - e w w e l, 6. R e b i u l - a c c h i r, 7. D ż e m a s i u l - e w w e l, 8. D ż e m a s i u l - a c c h i r, 9. R a m a z a n, 10. S z e w w a l, 11. S i l k a d e, 12. S i l h i d ż e.

Nazwy miesięcy słonecznych brzmią: 1. A z e r lub M a r t, 2. N i s s a n, 3. A j a r lub M a i s, 4. H a s i r a n, 5. T i m u s, 6. A b lub A u g u s t u s, 7. E i l u l, 8. T e s z r i n i - e w w e l, 9. T e s z r i n i - s a n i, 10. K i a n u n i - e w w e l, 11. K i a n u n i - s a n i, 12. S z u b a t.

W nazwach miesięcy słonecznych spotykamy trzy nazwy wspólne z nazwami europejskimi, z nich też wzięte. Są nimi: Mart (marzec), Mais (maj) i Ab — czyli Augustus — odpowiadający polskiemu sierpniowi. Nazwy pozostałe pochodzą z języka syryjskiego.

Jak widać z nazw miesięcy słonecznych, rok słoneczny zaczynają Turcy liczyć od miesiąca marca.

W obliczeniach kalendarzowych stosują Turcy ten sam styl, jaki stosują wschodni chrześcijanie, to jest tzw. juliański. Każdy rok przestępny otrzymuje u Turków dodatkowy dzień w ostatnim miesiącu roku, (Szubat), który zresztą odpowiada naszemu lutemu.

Rok jednak liczony według miesięcy słonecznych liczyli Turcy w niedalekiej jeszcze przeszłości wyłącznie w stosunkach z Europejczykami, między sobą posługując się konserwatywnie rokiem tzw. księżycowym.

W starszych sferach naukowych spotykało się u Turków jeszcze jeden sposób obliczania czasu, mianowicie wielu tureckich uczonych stosowało erę Seleucidów, zwaną tak od króla syryjskiego Seleuka. Rok liczony według tej ery zaczyna się pierwszego października roku 312 przed narodzeniem Chrystusa. Erę tę nazywają Turcy również erą króla Aleksandra — t a r i c h i m I s k i e n d e r i r u m i.

Zasady kalendarza tureckiego oparte na zmianach księżycowych, brały za punkt wyliczeń 30-letni okres zmian księżycowych opartych na wyliczeniach francuskiego astronoma Cassini. Turcy mieli tłumaczenie tych tablic i posługiwali się nimi aż do drugiej połowy wieku XVII, kiedy to uczony turecki — D a r e n d e l i M e h e n e d E f e n d i nadał kalendarzowi tureckiemu odmienną postać, wprowadzając zamiast stosowanej dotychczas tabeli 30-letniej — okres 8-letni. Uczonemu tureckiemu chodziło o wprowadzenie okrągłej liczby tygodni, jakiej stosowany do jego czasu kalendarz turecki nie posiadał wobec tego, iż składał się z 10631 dni.

Ośmioletni okres Darendelego składa się z pięciu zwyczajnych księżycowych lat zawierających po 354 dni i trzech lat przestępnych, zawierających po 355 dni, razem więc składa się ten okres z 2835 dni, czyli z 407 tygodni.

Proste wyliczenie wykazuje łatwo pomyłkę popełnioną przez Derendelego. Mianowicie jego osiem lat księżcowych zawierających po 354 dni, 8 godzin, 48 minut i 36 sekund daje o 1 godzinę 31 minut i 12 sekund w jednym roku za wiele, czyli po upływie 126 lat daje za dużo o jeden cały dzień.

Cywilizująca się Turcja dzisiejsza na zewnątrz posługuje się w kalendarzu miesiącami, który to sposób nie sprawia żadnych nieporozumień w stosunkach z Europejczykami. Do dnia dzisiejszego jednak nie tylko starzy, ale nawet młodzi zeuropejzowani Turcy w stosunkach między sobą używają wyłącznie kalendarza księżycowego. Jest to oczywiście wynik konserwatyzmu narzuconego względami religijnymi. Religia bowiem Turków, czyli mahometanizm, jest — jak każda religia — konserwatywna.

Mak

Kącik fotograficzny

Fotografujemy krajobraz

Przeglądając album fotoamatora, spotykamy sporo zdjęć krajobrazowych, przeważnie pamiątek z wycieczek i wczasów. Niestety, w większości wypadków musimy wierzyć autorowi zdjęcia „na słowo", że okolica jest prześliczna, a widoki nadzwyczajne, bo na fotografii tego nie widać.

Ponieważ dobre zdjęcia krajoznawcze są nie tylko miłą pamiątką, ale znajdują szerokie zastosowanie jako pomoc w nauczaniu i stanowią cenną ilustrację do prac krajoznawczych czy wydawnictw propagandowych, zagadnienie to omówimy obszerniej.

Zacznijmy od obiektywu, doskonałe usługi oddaje teleobiektyw. Przy aparatach o obiektywie niewymiennym, używamy nasadek, przedłużających ogniskową (Distar). Nie znaczy to oczywiście, że przy pomocy obiektywu „uniwersalnego" nie można zrobić dobrego zdjęcia.

Nieodzowny jest również filter (najlepiej jasno-żółty, podwoić czas naświetlania), oraz osłona przeciwsłoneczna, która ma za zadanie niedopuszczenie do obiektywu niepotrzebnych promieni światła. Używanie przysłony nie ma wpływu na siłę światła obiekytwu i oczywiście nie powoduje zmiany czasu naświetlania.

Decydujące znaczenie ma kompozycja obrazu. Musimy więc zdać sobie sprawę, co będzie stanowiło przedmiot główny zdjęcia i ustawić aparat tak, ażeby przedmiot główny znalazł się w jednym z silnych punktów lub też na silnej linii obrazu. Wspomniane silne linie otrzymamy, dzieląc każdy z boków zdjęcia na trzy części, a następnie łącząc otrzymane punkty liniami prostymi. W rezultacie otrzymujemy cztery silne linie zdjęcia (dwie poziome i dwie linie zdjęcia (dwie poziome i dwie pionowe), a punkty ich przecięcia, to silne punkty (cztery).

Dużo uroku zdjęciom krajobrazowym dodaje woda. Ulubione, zwłaszcza przez początkujących fotoamatorów, odbicie przedmiotów w gładkim zwierciadle, wywołuje u widza niekorzystne wrażenie dwoistości. Wady tej unikniemy, przez wrzucenie do wody kamienia, czy ruch wiosłem. Fotografując wodę płynącą (n. p. wodospad), należy tak dobrać przysłonę, ażeby czas naświetlania wynosił około 1/25 sek., gdyż przy naświetlaniu zbyt długim zatracamy ostrość, przy zbyt krótkim zaś, woda robi wrażenie zamarzłej. Natomiast fale naświetlamy 1/50 — 1/200 sek., gdyż poruszają się one ze znaczną szybkością.

Bardzo korzystne wrażenie wywołują także linie wprowadzające, wiodące od dolnego brzegu zdjęcia do przedmiotu głównego. Zadanie to doskonale spełniają drogi, szyny, płoty itp., przy czym należy się starać, aby linie te były łagodnie wygięte.

Błędem jest również, jeśli horyzont przechodzi przez środek zdjęcia — należy go raczej umieścić na jednej z silnych linii obrazu, pamiętając przy tym, że chmury znakomicie ożywiają zdjęcie, przyczyniając się do wytworzenia nastroju.

Fotografując w górach, wykorzystujemy albo motywy bliskie (skały), lub też rozległą panoramę szczytów, przy czym perspektywę dali znakomicie oddają równoległe łańcuchy górskie. Na wysokości około 1500 m. czas naświetlania skracamy o połowę.

Ważne jest oświetlenie. Najczęściej stosujemy oświetlenie boczne, unikając pory południowej, kiedy światło jest bardzo intensywne, a cienie przedmiotów krótkie. Efektownie wyglądają również zdjęcia, robione pod światło (konieczna ochrona przeciwsłoneczna), zwłaszcza przy użyciu nasadki zmiękczającej (Duto).

Do zdjęć krajobrazowych wprowadzamy często stafaż (pierwszy plan), ale o tym napiszemy w następnym kąciku.

Modę na kapelusze ozdobione barwną wstążką lansowano na mistrzostwach tenisowych w Wimbledonie.